

Liryczna anatomia, czyli poeta bada człowieka

Maciej Robert
Collegium Anatomicum
 Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum
 Animacji Kultury w Poznaniu
 Poznań 2011

W czym tkwi siła najnowszego tomiku Macieja Roberta *Collegium Anatomicum*? W jego sugestywności. Jednocześnie jest to sugestywność – by tak rzec – stonowana, oparta na formalnej harmonii i wielopłaszczyznowej spójności tematycznej. Poeta kilkoma wyraźnymi liniami kreśli szkic, w obrębie którego będzie się poruszał wraz z czytelnikiem. Ten szkic to, jak wskazuje tytuł, sylwetka człowieka.

O człowieku bowiem pisze Robert. *Collegium Anatomicum* to jednostkowy, a przy tym uniwersalny portret przedstawiciela rodzaju ludzkiego, uwzględniający kolejne etapy jego życia. Scenariusz, co podkreśla otwierający zbiór wiersz

Perspektywa, jest z góry przewidziany – z biegiem czasu zmienia się tylko punkt widzenia, a my ulegamy złudzeniu nowości („Na początku jest pewność. / [...] Dalej kończy się lód. / [...] Na samym końcu światło”). Biografię (i cały tomik) podsumowuje zaledwie Spis treści, czyli „porządki, segregacja, katalog”.

Wszyscy zatem powtarzamy te same etapy egzystencji. W utworach Roberta dużą rolę odgrywa ujmowane w specyficzny sposób dzieciństwo. Można w tym wypadku mówić o nostalgii à rebours. Owszem, wspomina się zabawy sprzed lat, ale są one całkowicie pozbawione niewinnej słodyczy (Luka: „[...] chłopaki / wracali z nad rzeki, ciągnęli za sobą dwa martwe // łabędzie”), a nadchodząca dorosłość niepokoi zmysłowością (Następny: „Ciała im pęczniały. Na lekcjach religii / kryli się najdalej”). Groza i przeczucie końca kryjące się za dziecięcymi niepokojami (Drzwi: „Zabobon – tego baliśmy się najbardziej [...] // Piekła / zdarta skóra, pulsowała żyła tuż poniżej kostki. Przykładam / tam nóż. Mam go w pogotowiu. Tak jak mnie uczyłeś”) powracają w późniejszych wizjach (Imago: „Zatopiona kopalnia i inne cuda, majstrowane naprędce, którymi / straszono nas w dzieciństwie, wracają nad ranem”).

I to śmierć, ciężąca nad nami od momentu narodzin, okazuje się kluczowym tematem *Collegium Anatomicum*. Nie bez powodu wśród przywoływanych pór roku dominuje zima i charakterystyczne dla niej motywy („lód, pierwszy mróz, skrzypiący śnieg, kra, szron”). Robert szuka zresztą rozmaitych, często bardzo oryginalnych, sposobów ujęcia tego zagadnienia. Obok scenek, które można nazwać eufemistycznym zapisem umierania (Sceny z życia sąsiedzkiego: „Gruby książdz wspina się po schodach, / groźnie świszcząc. [...] // Później wynoszą trumnę”; Zastępstwo: „W nocy wiało. [...] // Ten spod szóstki krzyczał przez sen. [...] // Rano leżał pod łóż-

kiem”), znajdziemy wiersze oparte na kontraście witalności i wyczerpania (Lato stulecia: „Lato z gwałtownie kwitnącym jęczmieniem. // [...] We śnie ożywał śnieg, / podpełzał pod drzwi. I cierpliwie czekał; Świeże ślady: „W miejscu, gdzie wczoraj / się tliło, kotłują się dwa psy”). Najciekawsze są jednak teksty przywołujące śmierć za pomocą quasi-fabularnej narracji (Notka służbowa, Inskrypcja, Moło, Second hand, last minute). W tym wypadku opowieść wydaje się przystaniać główny temat, co niekiedy upodabnia tekst do kalamburu – sprawnie podanej czytelnikowi zagadki.

Robert nie zapomina przy tym, że pomiędzy rodzinami a odejściem ze świata mieści się spisywana później „treść”, czyli cała materia naszego życia. Poetę fascynują przede wszystkim pozornie niewiele znaczące szczegóły, ponieważ to one tworzą indywidualną pamięć człowieka. Często chodzi o powtarzające się wydarzenia, które autor doskonale zapisuje w wierszach będących swego rodzaju trawestacjami konkretnych sytuacji (Wizyta, Wdowcy, Nocna zmiana). Również dzieciństwo wyposaża nas w bagaż myśli i nawyków (Delegacja: „Niechcący kulturował dziecięce obyczaje”; Imago: „[...] cuda, [...], którymi / straszono nas w dzieciństwie, wracają nad ranem”). Sensualność wierszy jest daleka od radosnej pochwały zmysłowego doświadczania świata, ponieważ skupia się na elementarnych funkcjach organizmu. Skoro jednak ciało – zarówno zdrowe, jak i cierpiące – stanowi podstawę tożsamości, to na chorobie można budować poczucie odrębności (Historia choroby: „Przez lata pielęgnował w sobie ból [...] // Charczał / tylko: «Przeżyłem ojca»”; Rotacja: „I po raz setny wspominam, że jego płuco / jest teraz jednym z eksponatów // w Collegium Anatomicum”).

Ukazywanie człowieka w każdym aspekcie jego egzystencji nie jest oczywiście odkryciem Ro-

berta. Ale za indywidualną właściwość tej poezji należy uznać zaprezentowany w niej obraz płci, czyli zniwelowanie binaryzmu. Autor proponuje nam portret-syntezę, w którym pierwiastki męskie i żeńskie przeplatają się ze sobą. Dlatego podmiot wierszy przyjmuje czasem perspektywę kobiety (Second hand, last minute, Wrzesień, Księga Wyjścia), a męscy bohaterowie delikatnieją (Inskrypcja: „Kierowca ciężarówki, król entomologów, / niedzielny znawca ptaków”) lub ujawniają swoje słabości (Historia choroby). I nawet jeśli w tym spojrzeniu kryje się nieco współczucia dla przedstawicielek rodzaju żeńskiego, to takie samo prawo do cierpienia i lęku przyznane zostaje mężczyznom.

Dążenie do syntezy obejmuje również formalną stronę poezji. Autor często stosuje strofoidy o regularnej liczbie wersów. Niektóre utwory mają wyraźnie zaznaczoną puentę (Drzwi, Porządki, Szczęście), inne oparte są na symetrycznym kontraście. Kontrast stanowi zresztą podstawową cechę wierszy z Collegium Anatomicum, które – opisując rozdarte między sprzecznościami życie człowieka – muszą łączyć piękno z brzydotą. Dlatego łagodnie liryczne fragmenty sąsiadują z brutalizmami i naturalistycznym opisem codzienności (Niedziela w kościele parafialnym: „Przypadkową parzystość wzięliśmy sobie / zaraz głęboko do serca. Za murem kościoła / darło się niemowlę”), a tok wiersza przerywają czasem wulgaryzmy (Łuka: „dziadek / powiedział, żeby, kurwa, zrobić raz na zawsze // porządek z topolami”; Szczęście: „W drodze do szkoły zawsze łąpało się go / za okolice fiuta”).

Czy to już wszystko? Czy Collegium Anatomicum jest, mimo pewnej drastyczności i pesymistycznych akcentów, wyrazem humanistycznej miłości do rodzaju ludzkiego? Czego jeszcze brakuje. Robert nie zapomina o tym, że człowiek żyje w świecie otoczony przedmiotami. W poezji łódzkiego poety przyrządy często +

ożywają, a ludzie, przeciwnie, podlegają reifikacji (Ceremonie: „Szerokie drzwi wracają na zawiasy. Cztery / taborety – pod stół. // [...] Ostatni król idzie pod nóż. Krew wsiąka w ziemię. / Słodkie mięso pachnie sentymentem i sianem”). Rzeczywistość przypomina sprawny mechanizm, co tłumaczy częstą obecność maszyn i narzędzi w wierszach („dźwignia, siekiera, zwoje łożyska, drut, rozgrzane felgi”). Nieco sentymentalnie i idealistycznie pozwalam sobie traktować ową inwazję rzeczy jako ostrzeżenie dla rodzaju ludzkiego. W tym kontekście cielesność, czyli właściwa nam forma materii, staje się punktem oparcia dla człowieczeństwa, a ból, zamiast hańbić, oczyszcza (Ul: „Ćwiczenie się w tym bólu, w odwracaniu uwagi / i głowy. Żeby się nie wydało. A zresztą – niech się wyda”).

Interpretacje pozostają, jak zawsze, dowolne. Tym, co mamy na pewno, jest Collegium Anatomicum – dobrze przemyślany tomik, proponujący ciekawe literacko rozwiązania. Albo raczej, jak chce autor, „parciane arcydzieło” – anatomicznie szczegółowe, literacko imponujące. Do szczegółowego zbadania.

Katarzyna Lisowska

Pies o imieniu Judasz

Marcin Wroński
Officium Secretum. Pies Pański
 Wydawnictwo W.A.B.
 Warszawa 2010

Przybywa z odległego Watykanu do Polski, którą opuścił 20 lat temu. Jeszcze zanim zadomowił się w mieście, w którym spędził lata, które go naznaczyły, już został zatrudniony na KUL-u. Plan zajęć ma wcześniej niż dziekan. Rozczytany w mistykach islamu, w wolnych chwilach pisze, a zaraz potem kasuje w laptopie spowiedź swojego życia. Tchnie innym światem, studentki doceniają markowy zegarek, marynarkę. Po zajęciach staje w obronie dziewczyny: i cóż z tego, że napastników jest trzech, a on jeden, gdy zaraz wszyscy leżą pobici, leżą i kwiczą, skamłając o litość. Telefon jego przełożonych otwiera wszystkie drzwi, im się nie odmawia. Wreszcie: jest historykiem, jest zakonnikiem, jest Polakiem – czy można wybrać gorzej?

Dominikanin Marek Gliński nie jest Jamesem Bondem w habicie. To byłoby zbyt proste i, przynajmniej, zbyt banalne. Jest zatem tak, jak w thrillerze powinno być: nieoczywiście do samego końca. I tak Gliński nie jest pojedynczy, ich jest dwóch. Gliński „zewnątrzny” to dominikanin, Gliński „wewnętrzny” ma pseudonim „Kleryk”. Każdy z nich ma swoje drugie dno, tajemnicę, która stwarza go niejako na nowo. Jako domini-